

# WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ  
Z „NOWINAMI  
RZESZOWSKIMI”  
Nr 14 (134)  
Rok IV  
5 IV 1964 r.

WALTER KLIMZA

## Erotyk

Elizblecie S.

Próba smaku  
dojrzałego jabłka  
w czasie niemierzonym  
żadnym zegarem  
lecz tykotaniem skrzydeł  
twoich rzęs  
którymi jak motylek  
osiadasz niecierpliwie  
pijana zapadasz  
w mech snu  
a potem  
otwierasz spadochron oczu  
i wschodzisz spojrzaniem  
wstydlwym jak poranek

EDWARD ZOŁOWSKI

## Najprościej

Najprościej  
ująć dłonie  
owinięte ciepłem  
patrzeć w oczy  
napelnione troską  
usiąść przy stole  
darować winy  
cieszyć się  
rzucaniem liści  
i każdym tchnieniem  
wiosną

Najprościej  
powiedzieć o słońcu  
karmiącym  
modrość i szarość  
iść ścieżką w ciszę  
i ufać milczeniu  
dostrzegać pożegnania  
— zostawiać innym  
nadzieję  
i radość

Najprościej  
być cieniem  
myślą  
którą nikt nie słyszy  
słowem  
krzepiącym zwątpienie  
i wszystkim  
i niczym

MIECZYSLAW BOSAK

— odeszłaś  
w wodę rzuciłem  
pamięć o tobie —  
jesteś spod powieki pyłem  
palącym w głowie

na przeciwnych  
brzegach wpatrzeni  
w odchodzące od pamięci  
chwile

stoimy  
aż znikną zbyte milczeniem  
zacichną w palącym pyłe —

WIESŁAW KULIKOWSKI

## Zielone miasta

Palą się wciąż zielone miasta  
podczas kolorów wielkiej bitwy.

W wypelzły dzień się rozpacz wplata  
i tkwi u szyi jak cień brzytwy.

Do południka wciąż daleko,  
choć odjeżdżamy już ze słońcem.  
— Śladów pożegnań jeszcze strzegą  
ulice dawno opuszczone.

— Ptak niebo rozniósł w różne strony —  
i serce jesz zrównane z ziemią...

Na zgłiszczach domów wciąż zielonych  
już słoneczniki tylko grzeją.

JÓZEF KURYLAK

## Poeta

Stanisławowi Grochowiakowi

Byle belfer  
zagrzebie mnie w popiołach  
to próżnia — powie pusta koperta bez róży  
to cień  
być może kobieta w gęstej czerni lustra  
być może kobieta o drewnianej ręce  
dostrzeże

To nie były z góry przewidziane, zaplanowane spotkania. Wręcz przeciwnie, w czasie mojej dziennikarskiej podróży przez ziemie NRD dochodziło do nich zupełnie przypadkowo — w salach muzeów, na ulicy w urzędzie, sklepie, pociągu i w kolejce podziemnej. Były to spotkania z ludźmi, którzy w czasie wojny, nie zawsze w zgodzie z własnym sumieniem, rzuceni rozkazem wojskowym lub poleceniem szefa instytucji, musieli w okupowanej Polsce umacniać nowy ład i pracować dla „Wielkich Niemiec”. Wielu z tych ludzi, gdy znalazło się już na naszych ziemiach, gdy zetknęło się z Polakami, zdawało sobie sprawę ze zbrodniczego charakteru wojny. I starało się przychodzić z pomocą zarówno ludności cywilnej, jak i współpracować z podziemiem polskim przeciwko faszyzmowi. Dziś chciałbym przedstawić Wam trzy spotkania z takimi właśnie Niemcami.

znalazł się w warszawskim Muzeum Narodowym. On i jeszcze kilku byłych pracowników muzeów niemieckich mieli tu nadzorować pakowanie i wysyłanie w głąb Rzeszy bezcennych skarbów kultury polskiej. Rozpoczęło się dzieło rabunku i zniszczenia.

A przecież Otton Rehmen nie był żółtodziobem. W Dreźnie stale stykał się z zabytkowymi przedmiotami pochodzącymi z Polski, a znajdującymi

Dreźnie czy Bremie — zabytkowe płótna, sztandary z powstań narodowych, pamiątki po wodzach tych powstań, broń polska i zachodnia, ukrywane skrytce pod niemieckim wojskowym płaszczem, trafiały do suteryn woźnych z muzeów na Woli, Pradze i Powiślu.

Gestapowcy i „leiterzy” dozorujący wywóz skarbów nie mogli zrozumieć jak to się dzieje, że eksponaty, które jeszcze wieczorem leżały w

studentów przybywających do jego miasta na studia.

Sierżanta Karla Neumanna poznałem na posterunku „Volkspolizei” czyli policji ludowej. Nie był to już człowiek młody, ale mimo siwizny i przygarbionej postaci ruchliwy, krzepki i stale uśmiechnięty. Jego twarz szpeciła tylko straszliwa czerwona blizna. Była to pamiątka po ciecici szabłą w 1940 roku w Łodzi,

Nawet mu do głowy nigdy nie przyszło, że podlegli mu ludzie obdarzą jego „dozorcę” i Niemca tak ogromnym zaufaniem, że powierzą mu tajemnicę, za którą bez sądu trafiało się pod mur. On Niemiec z Nadrenii miał tę tajemnicę zachować. Ale Neumann był nie tylko Niemcem: był robotnikiem i od wielu lat członkiem Komunistycznej Partii Niemiec. Od chwili dojścia faszystów do władzy znał pracę w konspiracji i wiedział, że w każdej chwili, w każdym miejscu Niemiec czy okupowanych krajów, fałszywy krok może go zaprowadzić do kazamatów gestapo. Tu, w umęczonej Polsce poczuł się szczególnie odpowiedzialny za tych łódzkich robotników, którzy nie znając jeszcze prawdy obdarzyli go tak daleko idącym zaufaniem.

Karl pozostał w zakładach już jako członek polskiej komunistycznej komórki partyjnej. W jakiś czas potem objął tam funkcję instruktora wyszkolenia bojowego jednej z grup młodzieżowych. Do dziś pozostał w pamięci wielu robotników łódzkich jako tajemniczy człowiek o pseudonimie „Ren”.

I jeszcze sprawa owej blizny na twarzy. Jest to pozostałość po starciu z podpalonym zandarmem, nawiasem mówiąc volksdeutschem. Karl trafił na Bałutach na bandycki napad dokonany przez owego zandarma na wracającą z fabryki młoda robotnicę. Natychmiast stanął w jej obronie. Zandarm zaś, nie zorientowawszy się, że ma do czynienia z Niemcem, ciał szabłą Neumanna przez twarz. Za ten, jak to zanotowano w protokole gestapo, „napad z bronią na Niemca” volksdeutsch trafił do obozu koncentracyjnego, gdzie z kolei za katowanie więźniów został sprzątnięty przez bojówkę Ruchu Oporu.

W 1943 roku Niemcy wpadli na trop komunistycznych organizacji w fabrykach łódzkich. Rozpoczęły się aresztowania. Neumann razem z bojową grupą przerzucony został na teren Śląska, by tam rozpocząć partyzancką walkę z okupantem. Właśnie za tę partyzancką działalność w

(Ciąg dalszy na str. 2)

JERZY M. KOPEĆ

## Spotkania nad Łabą Szprewą i Bałtykiem

(KORRESPONDENCJA WŁASNA Z NIEMIECKIEJ REPUBLIKI DEMOKRATYCZNEJ)

się tu od czasów saskich. Oglądał w salach i magazynach dokumenty królów Polski, kroniki i książki pisarzy polskich działających w okresie rozbiorów na emigracji. Nieobce mu były nazwiska Kraszewskiego i Mickiewicza. Znał doskonale wyroby rzemieślnicze — polskie dywany, wyroby złotnicze, wysoki kunszt rusznikarski i płatnerski. Bardzo często z podziwem przyglądał się gablotom mieszczącym eksponaty sprzed stu lat, które na ziemi niemieckiej znalazły się przez przypadek, powiązania rodów magnackich, grabieży lub handel.

Nie chyba dziwnego, że w salach muzeum warszawskiego Otton szybko znalazł wspólny język z polskimi pracownikami — woźnymi, dozorcami, historykami. I oto Rehmen żołnierz w mundurze „feldgrau” przystąpił do konspiracyjnej współpracy z Polakami, pomagając im własnoręcznie ukrywać i wynosić z gmachu najcenniejsze przedmioty i obrazy. Zamiast do pak z adresami muzeów w Berlinie, Monachium,

gablotach, rano były nie do odzyskania. Nie wyjaśniły zagadki ani aresztowania kilku osób, ani wielotygodniowe śledztwo. Dopiero po kilku miesiącach Otton wpadł. Wpadł przez koleżkę, zakonspirowanego SS-mana, który podpatrzył wspólną akcję Niemca i Polaków. Sad wojskowy skazał Rehmena na pobyt w kompanii karnej w Afryce. Stamtąd zaś za ułatwienie ucieczki pilotom angielskim został przekazany na „wychowanie” do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. A tu ponownie zetknął się Otton z Polakami. I znowu przystąpił do pracy konspiracyjnej — w komórce KPD. Tam też zastało go wyzwolenie...

Otton nie zwlekał. Powrócił do rodzinnego Dreżna, przystąpił jako jeden z pierwszych do odbudowy spalonego Zwingeru. I dziś po skończeniu studiów z zakresu konserwacji dzieł sztuki, jako jeden z wybitnych fachowców czuwa nad polonicami w muzeach dreźnieńskich. A w chwilach wolnych, z ramienia partii opiekuje się grupami zagranicznych

jaka Neumann otrzymał od zandarma.

Karl — doświadczony majster włókienniczy, został przez swoją firmę skierowany do okupowanej Polski jako brygadzysta w zakładach włókienniczych. W pewnej łódzkiej fabryce nakazano mu nadzorować kilkudziesięciuosobową brygadę polskich robotników. Karl nigdy przedtem nie zetknął się z Polakami. Nie miał ku temu okazji w dalekiej Nadrenii. Tu jednak szybko poznał podległych sobie ludzi i docenił ich wysoki kunszt włókienniczy. Tak się jakoś złożyło, że nastany z Rzeszy „dozorca”, jak go początkowo nazywano, zaprzyjaźnił się z robotnikami i pracownikami fabrycznej farbiarni. Fachowiec poznał się bowiem na fachowcach. A oni poznali się na nim. Po kilku zaś miesiącach, w czasie przerwy obiadowej jedna z robotnic zaproponowała mu, by odwiedził ustronny domek na Bałutach, gdzie tego właśnie dnia miało się odbyć zebranie konspiracyjnej partyjnej komórki. Neumann był zaskoczony.

W starym Dreźnie, w słynnej galerii obrazów pracował przed wojną młody woźny — Otton Rehmen. Zawód woźnego przechodził zresztą w rodzinie z ojca na syna. Otton pamiętał doskonale czasy, gdy jego ojciec, żołnierz pułku grenadierów z I wojny światowej, natychmiast po powrocie z frontu musiał znowu chwycić karabin i bronić rewolucji w naddiabskim grodzie. Z tej walki już nie powrócił. Padł na ulicach Dreżna zabity przez swego byłego dowódcę kompanii, gdy bronił czerwonego sztandaru. Z tego właśnie powodu po dojściu Hitlera do władzy, młody Otton znalazł się na liście „niepewnych politycznie”. W pierwszych dniach wojny został zmobilizowany i skierowany do pomocniczej formacji wojskowej, która miała zająć się na okupowanych terenach „... zabezpieczeniem i odzyskaniem dokumentów kultury europejskiej znajdujących się nieprawie w rękach Polaków”. Mówiąc innymi słowami, ta jednostka wojskowa przeznaczona była do grabieży naszych muzeów, zbiorów prywatnych i antykwariatów. Wraz z formacją



RYSZARD BILSKI

# Uniwersytety robotnicze na półmetku

— „Kradną” nam co lepsze pomysły, zabierają słuchaczy. Jak nie Liga Kobiet, to TWP. Zorganizowaliśmy na przykład kurs sanitarny dla kobiet — mówi, a właściwie narzeka dyrektor Uniwersytetu Robotniczego ZMS w Ropczycach — wykładowcami byli pracownicy Wydziału Zdrowia. W oparciu o nasze doświadczenia sami później urządzili podobny kurs. Tak zawsze, z każdą naszą inicjatywą.

Uniwersytety robotnicze Związku Młodzieży Socjalistycznej powstawały w okresie, gdy inne formy szkolenia były już rozwinięte. Mimo to zyskiwały sobie prawo obywatelstwa. Niewątpliwie największym powodzeniem cieszyły się trzyletnie kursy, których absolwenci otrzymywali świadectwa dojrzałości liceów ogólnokształcących. Do niedawna jeszcze UR-y prowadziły także i inne kursy o charakterze szkolnym (np. ekonomiczne). Obecnie kontynuowane są tylko zajęcia na kursach, które rozpoczęły się w latach ubiegłych. Nie ulega chyba wątpliwości, że słuszną była decyzja zrezygnowania z prowadzenia szkół-kursów. Sprawy związane z oświatą szkolną przejęły szkoły. Mają one przecież lepsze warunki do prowadzenia średniego nauczania; doświadczenie, kadre wykładowców, pomoce naukowe, wreszcie pomieszczenia. UR-y występowały tu w roli tylko organizatorów. Obowiązków było wiele, nawet za wiele. Kierownicy tych ZMS-owskich szkół średnich wspominają dziś jak wielką odpowiedzialność brali na siebie, organizując je.

Uniwersytetom pozostawiono nadal możliwości organizowania kursów z zakresu szkół podstawowych. Tu mają olbrzymie pole do działania. Wielu robotników w dużych nawet zakładach pracy nie ma podstawowego wykształcenia. Problem ten występuje z całą ostrością np. w Debicy. Tu wydawało się, że sytuację już opanowano. UR-y zorganizowały kursy (w zakładach pracy) lecz po kilku tygodniach rozleciały się one. Gdzie indziej nie udało się nawet tyle co w Debicy.

U podstaw powodzenia kursów, a raczej niepowodzenia leży nieregulowana dotychczas sprawa natury prawnej. Nikt nie może zagwarantować ich uczestnikom, że zaświadczenia, jakie otrzymają będą równoznaczne z wydanymi absolwentom szkoleń organizowanych przez zakłady dośkonaleń rzemiosła. Wprawdzie poziom na niektórych kursach ZMS, nie tylko że nie ustępuje innym, lecz jest często nawet wyższy i kończą się one egzaminami składanymi przed komisjami państwowymi, lecz są mniej, nie dają uprawnień, nie są honorowane przez w s z y s t k i e zakłady pracy i instytucje.

Dotychczas jednak absolwenci UR nie mieli kłopotów z zatrudnieniem. Tylko dlatego — powiedzą ich przeciwnicy — że większość z nich wcześniej już pracowała, na kursy kierowani byli przez swoje zakłady pra-

cy. To prawda, lecz również i dlatego, że uniwersytety wychodzą zawsze naprzeciw zamówieniu społecznemu, a więc na absolutny jest popyt. Jeśli chodzi zaś o sprawę pierwszą to uważam, że to przykład do naśladowania.

Wielu słuchaczy rekrutuje się spośród absolwentów liceów ogólnokształcących, zupełnie nieprzygotowanych do pracy zawodowej. Po ukończeniu kursów mają możliwość awansu, lepszego zarobku, bo jeśli nawet zaświadczenie nie liczy się jako osobny prawny dokument, to jest z pewnością nie bez znaczenia „dodatkiem” do charakterystyki pracownika, liczą się przecież wiadomości. W wielu zakładach pracy UR-y organizują kursy, na których pracownicy podnoszą swoje kwalifikacje. Dyrekcje niejednokrotnie finansują naukę. Ale przykładów w tej sprawie nie możemy, niestety, podać zbyt dużo. Tu również UR-y zakładają sobie ambitne zamierzenia...

W Stalowej Woli nie pierwszy raz w tym roku władze oświatowe stanęły przed niełatwym do rozwiązania problemem. Kilkudziesięciu absolwentów szkół podstawowych nie zdało egzaminu wstępnego do szkół średnich. Pozostali bez jakiegokolwiek zajęcia. Wiek 13—14 lat. Do pracy jeszcze za wcześnie. Groziła bezczynność i ulica. 3 razy w tygodniu, po obiedzie, stalowowski Uniwersytet Robotniczy ZMS organizuje dla nich naukę (program VII—VIII klasa). Chodzi nie tylko o wypełnienie młodzieży wolnego czasu, lecz głównie o to, aby nie zapomnieli tego czego nauczyli się i na drugi rok mogli zdawać egzaminy wstępne do szkół średnich i zawodowych. Sądzę, że z doświadczenia stalowowskiego skorzystają w najbliższym czasie i inne uniwersytety.

Na zakończenie zatrzymajmy się bardzo krótko nad kilkoma sprawami, które dotyczących bardzo marginalnie były uwzględniane w pracy. Dyrektorzy placówek działających w małych ośrodkach miejskich, nie nawiązali koniecznego chyba w ich warunkach kontaktu ze Związkiem Młodzieży Wiejskiej. Chodzi nie tylko o zapobieżenie niepotrzebnemu powtarzaniu się i konkurowaniu, ale także o to, by młodzież wiejska mogła korzystać z organizowanych przez ZMS kursów w mieście, które tam tylko z wielu powodów (m. in. potrzeba odpowiedniego zaplecza np. dla kursów technicznych) mogą się odbywać. Częściej organizować należy kursy tzw. łączone. Być może, że jeśli realizację programu szkoły podstawowej połączymy np. z nauką kroju i szycia, więcej będzie na kandydatów.

Dyrektor jednego z najstarszych rzeszowskich uniwersytetów mgr Marian Kilarski opracował projekt, i częściowo go nawet realizuje, działalności ośrodka wiedzy ekonomicznej. Wśród wielu punktów programu: odczyty dla robotników — celem usprawnienia i ulepszenia metod pracy zawodowej, wykłady dla

kadry kierowniczej z zakresu ekonomiki organizacji przedsiębiorstw — nie są one w gruncie rzeczy żadną nowością, czymś rewelacyjnym, na uwagę zasługuje projekt rocznego kursu dla maturzystów liceów ogólnokształcących, którzy zrezygnowali z wyższych studiów, a zatrudnieni są w różnych przedsiębiorstwach przemysłowych, handlowych, instytucjach społecznych, itp. i nie mają do tego zawodu odpowiedniego przygotowania. Sprawie tej warto poświęcić więcej uwagi.

W kraju pracuje obecnie 98 uniwersytetów robotniczych ZMS, w woj. rzeszowskim — 11. W roku szkolnym 1963/64 przewidywano (w woj. rzeszowskim) objąć 158 kursami ok. 8 tys. młodzieży. Jak wynika natomiast ze sprawozdania półrocznego, z kursów korzysta blisko 3 tys. słuchaczy, a z wszechniczy ZMS-owskiej ponad 2,5 tys. To dopiero pierwsze półrocze, w drugim będą również organizowane liczne kursy. Są one odpłatne, co niewątpliwie nie sprzyja „słomianemu zapalowi”, jednak o wiele tańsze od organizowanych przez inne instytucje i organizacje. Kadra kierownicza — dyrektorzy i wykładowcy rekrutują się spośród fachowców, ludzi przeważnie z wyższym wykształceniem, o czym mogłem się przekonać podczas kilku wizyt w tych placówkach.

RYSZARD BILSKI

## Spotkania nad Łabą, Szprewą i Bałtykiem

(Ciąg dalszy ze str. 1)

dniach wyzwolenia otrzymał od dowódcy radzieckiego „Medal za Odwagę” oraz „Medal Zwycięstwa”.

Dziś w jednym z posterunków Policji Ludowej pod Berlinem pełni służbę sierżant Karl. Zajmuje się zwalczaniem przestępczości wśród młodzieży. Ale często, bardzo często powraca wspomnieniami do dni walki z faszyzmem. Rozpoczął nawet pracę nad pamiętnikami z tamtych łódzkich lat i partyzanckich przeżyć. Nie ma zamiaru pisać tylko o sobie i polskich towarzyszach broni. Zna wielu Niemców, którzy jak on walczyli bądź współpracowali w szeregach polskich organizacji podziemnych. Chociażby taki Georg Sonne, były partyzant w Kieleckim, a dziś kapitan Armii Ludowej NRD.

Jego rodzice pochodzili z Pomorza. Nosił nazwisko Goninsky. Z rybackiej rodziny osiadłej na Rugii trafił młody Johann do portu w Roztocku. Rozpoczął tam pracę jako urzędnik w kapitanacie. I kiedyś w tym porcie wybuchł strajk. Goninsky wraz z robotnikami portowymi siedzi na czele pochodu tuż obok czerwonej flagi, wznosił okrzyki przed ratuszem

i przed Izłą Kupiecką. Pochód został rozproszony przez policję. Padli ranni, wśród nich Johann. Od tamtej pory kuleje. W dniu, w którym przyłączył się do strajku pojechał się z pracą. Nie było w porcie miejsca dla, jak ich wówczas nazywano w prasie, „czerwonych wywrotowców”. Ten szczegół w życiorysie skrzętnie wyłowili hitlerowcy. Trzydziestodwuletni Johann trafił do obozu na „beztępotowe wychowanie”.

Gdy wybuchła wojna, wraz z innymi więźniami przeniesiono go do ciężkich prac przy załadunku min i torped na okręty Kriegsmarine. Tam ponownie zetknął się ze starymi towarzyszami z portu i stara macierzysta organizacja partyjna. I zetknął się z Polakami — Kaszubami i Pomorzakami wywożonymi tu na roboty przymusowe. W miarę rozwoju działań wojennych, grupa, w której znajdował się Johann, trafiła do Kołobrzegu, potem Gdyni i Gdańska, wreszcie do Władysławowa. I wszędzie tam nawiązywano natychmiast kontakty z Polakami, z komórkami Ruchu Oporu. Johann jako jeden z sekretarzy komórki partyjnej, działającej w podziemiu, stał na szcze-

gólnie niebezpiecznym stanowisku. Organizował w wojskowych magazynach amunicyjnych w portach sabotaż przy montażu torped i min morskich. W efekcie sypnęły się meldunki od dowódców hitlerowskich okrętów donoszące, że miny nie wybuchają, torpedy zmieniają kierunek, bomby głębinowe eksplodują natychmiast po zetknięciu z wodą. Gestapo i kontrwywiad Kriegsmarine szalało. A jednak, przez całą wojnę nikomu nie udało się rozszyfrować organizacji sabotażowej w niemieckich portach wojennych. Dopiero po wojnie, we wspomnieniach jednego z członków tej komórki partyjnej ujawniono fakty i osoby biorące udział w podziemnej walce z faszyzmem. Na liście nazwisk figuruje i nazwisko Johanna — dziś działacza partyjnego w mieście nad Bałtykiem. Obok około dziesięciu nazwisk Polaków, robotników przymusowych, współdziałających z niemiecką grupą sabotażową.

Dziś w kłapie marynarki Johanna wpięte są baretki kilku wysokich odznaczeń NRD, Związku Radzieckiego i Polski. Wśród nich „Srebrny Krzyż Zasługi”.

JERZY M. KOPEĆ

ADOLF JAKUBOWICZ

## O upowszechnianiu plastyki, jeleniu i zezowatym Kościuszcze...

(Na marginesie pewnej dyskusji)

Naradę zorganizowały: Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, Zarząd Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków i Zarząd Wojewódzki Związku Młodzieży Wiejskiej w Rzeszowie.

Z zaproszonych przybyło na nią około 20 przedstawicieli reprezentujących też organizacje, instytucje, przedsiębiorstwa.

Poza dyrektorem Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku S. Rybickim nie wzięli w niej udziału dyrektorzy pozostałych muzeów regionalnych, stąd też reprezentacja „powiatów” była bardziej niż skromna.

Narada miała charakter roboczy, konkretny i poświadczała, że jednemu tylko problemowi. „J a k lepiej i mądrzej upowszechniać plastykę na wsi?”

Co do tego, że n a l e ż y t o robić, nikt z zebranych nie miał wątpliwości. Nie zamierzam streszczać przebiegu dyskusji, choć byłoby to z wielu względów zadanie celowe i dydaktyczne.

Wydaje mi się, że bardziej słuszne będzie zapoznanie czytelników „Widnokręgu” z wnioskami wypływającymi z trzygodzinnej z górą dyskusji. Są one dość interesujące i zasługują na chwilę uwagi.

Sprawa upowszechniania plastyki na wsi nie jest w naszym dwudziestolecu sprawą nową. Pojawiała się ona od czasu do czasu w artykułach prasowych, znacznie rzadziej w konkretnych, na szerszą skalę inicjatywach organizowanych bezpośrednio na wsi, bądź „importowanych” na nią. Ostatnia kampania jest w pewnym sensie również rezultatem dziennikarskiej interwencji. Zapoczątko-

wana została artykułem Zbigniewa Florczaka „Katakumby sztuki plastycznej” zamieszczonym w ubiegłorocznym sierpniowym numerze „Kultury”, podjęta następnie przez redakcję tygodnika „Zarzewie”, a dziś przez radio, telewizję, tygodniki społeczno-kulturalne, prasę codzienną.

A więc jeszcze jedna kampania, akcja?...

Trudno przesądzać dziś o jej charakterze, ale pewne symptomy wskazują na to, że może to być działanie uwiecznione wieloma interesującymi rezultatami. Redakcja „Zarzewia” i Zarząd Główny Związku Młodzieży Wiejskiej postąpiły słusznie przenosząc dyskusję prasową do sal konferencyjnych podkreślając, że nie jest to zwykły akademicki spór na temat, czy są katakumby sztuki plastycznej czy ich nie ma, lecz zwracając uwagę na praktyczną stronę zagadnienia upowszechniania plastyki.

Deklarację pomocy w tej działalności złożyło już dwadzieścia kilka centralnych władz instytucji, stowarzyszeń, związków, organizacji. Samo ich wymienienie zajęłoby sporą część niniejszego artykułu.

Kierując się tymi deklaracjami organizatorzy rzeszowskiego spotkania poświęconego temu problemowi zaprosili więc przedstawicieli muzeów, Woj. Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, spółdzielczości ogrodniczej, mleczarskiej, oszczędnościowo-pożyczkowej, „Domu Książki”, „Ruchu”, WKZZ, Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego i szeregu innych współuczestników tej pracy, rozumując słusznie, że skoro potrafiono dogadać się na szczeblu centralnym nie powinno być kłopotów w województwie.

Wszyscy uczestnicy spotkania byli zgodni, że jest to problem o dużym znaczeniu społecznym, że wymaga szerokiej, różnorodnej działalności obliczonej nie na najbliższe miesiące, lecz lata.

A więc nie „akcja”, lecz długofalowa szeroka działalność. Jeśli tak, to od czego zacząć? A może już są jakieś doświadczenia? Trzeci rok prowadzi akcję wystaw obyczajowych na wsi Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. Doświadczenia? Duże zainteresowanie, dobra frekwencja, ciekawe dyskusje.

Dyrektor Rybicki:

— Bardzo pozytywną rolę mogłoby odegrać w upowszechnianiu wystaw plastycznych i popularizatorskich „muzeobus” (brrr...! — red.). Myślimy, że mogłoby to być jeden z wycofanych „Sanów”. Wnętrze takiego autobusu można by przystosować do urządzania w nim małych wystaw, posiadających własny komentarz, przy okazji można by równocześnie prowadzić sprzedaż reprodukcji, organizować prelekcje, wyświetlać filmy.

— Muzeum nadal prowadzić będzie działalność typu również administracyjnego nie dopuszczając do sprzedaży rzeczy szkodliwych, nakazująca wyeliminowanie ich w pierwszej kolejności z wnętrza lokali państwowych i społecznych, przez które przewijają się przecież tysiące ludzi.

— Nie należy tu ograniczać form popularizacji plastyki. Wydaje mi się, że z akcją tą należy wchodzić wszędzie, gdzie jest to możliwe. A więc: na różnego rodzaju kursy,

działanie, by przeciętny mieszkaniec wsi lepiej i ładniej mieszkał, by umiał się ubrać, a na ścianie własnego mieszkania wieszał nie labędzia lub jelenia, lecz dobrą reprodukcję, aby docenił piękno ludowego pastaka lub ceramiki.

— Proszę mi pokazać, gdzie on te wszystkie piękne rzeczy kupi? Przecież nie kupi nowoczesnych mebli, bo handel sprowadza je jak na lekarstwo. Kto mu ma pokazać jak ma wyglądać takie nowoczesne mieszkanie, jeśli jego brat, sąsiad, znajomy z powiatowego lub wojewódzkiego miasta ma w domu forteczne szafy na wysoki połysk? Gdzie ma się uczyć tego dobrego smaku, jeżeli wnętrza urzędów, gdzie idzie załatwić sprawy podatkowe, gospód, gdzie wstępuje na piwo, czy wygląd ulicy powiatowego miasta, go tego nie uczy?

— Co robi się w walce z „jeleniami na rykowisku”? Nic. Przecież najzupełniej legalnie sprzedaje się te potwory na targach. Taniść, dostępną tych „dział sztuki” ma tu poważne znaczenie.

— Na targach? Proszę popatrzeć co sprzedaje się w państwowych sklepach? Gipsowych zezowatych Kościuszków, bociany, skaczące konie. Szczyciliśmy się, jak informowała jedna z ostatnich Kronik Filmowych, tym dorobkiem nawet na... Targach Poznańskich!!!

— A więc nie tylko wystawy, pogadanki, reprodukcje, ale konkretna działalność typu również administracyjnego nie dopuszczająca do sprzedaży rzeczy szkodliwych, nakazująca wyeliminowanie ich w pierwszej kolejności z wnętrza lokali państwowych i społecznych, przez które przewijają się przecież tysiące ludzi.

— Nie należy tu ograniczać form popularizacji plastyki. Wydaje mi się, że z akcją tą należy wchodzić wszędzie, gdzie jest to możliwe. A więc: na różnego rodzaju kursy,

seminaria wprowadzać temat, który mówiłby o elementarnych zasadach estetyki pojmowanej nie teoretycznie, ale jak najbardziej praktycznie, jak można się ładnie i tanio ubrać, co można zrobić w konkretnych warunkach wiejskiej klubokawiarni, by racjonalnie i celowo urządzić jej wnętrze.

— Słusznie! Warto, by problemem tym szerzej zainteresowała się również szkoła. Pamiętamy, że wychowanie estetyczne rozpoczynać trzeba od najmłodszych lat. Nie umniejszając zasług naszego nauczycielstwa stwierdzam, że pod tym względem wymaga ono jeszcze wiele pracy. Trzeba koniecznie nawiązać kontakt z zakładami kształcenia nauczycieli. Ważne jest nie tylko, by sami byli przekonani o potrzebie kształcenia się w tym właśnie zakresie, ale aby poznali możliwości przekazywania tych spraw swym wychowankom.

— Do lipca ma powstać w Rzeszowie nowoczesny dwadzieścia ośrodków nowoczesnego gospodarstwa domowego. Organizatorem ich będzie spółdzielczość zaopatrzenia i zbytu. Będziemy się starać, by w każdym z ośrodków można było uzyskać fachową poradę, jak prawidłowo urządzić mieszkanie.

Myślę, że tych kilka głosów jest dość dobrą ilustracją aktualnej sytuacji, jaka panuje w poglądach i opiniach na temat upowszechniania plastyki na naszej wsi i nie tylko wsi.

Przyznaję, że zupełnie nie dziwi mnie te uwagi. Są one dobrze osadzone w rzeczywistości. Ich różnorodność jest wyrazem nie braku rozumienia hierarchii potrzeb, lecz wynika z wielu zaniedbań, jakie mamy na tym polu w różnych dziedzinach gospodarstwa, kultury, wychowania.

Dobrze się stało, że dyskusji tej nikt nie podsumowywał. Zgodzono się, że lepszym wyjściem będzie powołanie niewielkiego zespołu roboczego, który będzie się starał pomóc w



Baselista

Fot.: M. KOPEĆ



# RÓŻNE FORMY KULTU RELIGIJNEGO

Kulty religijne różnią się ze względu na swoją lokalizację, miejsce, gdzie się oddaje cześć. Mieszaj — jak wiemy — istnieją odrębne miejsca kultu (kościół, kaplica, świątynia, a także specjalne miejsca święte). Miejsca kultu mogą być różnorodne, mogą to być np. albo święte lasy (jak góra Sobótka), mogą to być pewne części jakiegos namiotu, czasem nawet gołe pola, jak to bywało u Germanów.

Kulty mogą różnić się ze względu na czas ich sprawowania. Tutaj wchodzi w grę bardzo ciekawe zagadnienie: okresowości w życiu ludzkim — wydarzenia powtarzają się w większych lub mniejszych odstępach czasu, jak np. coroczne zasiewy czy zbiory. Jest to cykliczność — okresowość roczna. Może istnieć to w mniejszej skali, np. pół roku, miesięcznej czy tygodniowej. Jest rzeczą ciekawą, że religia jest bardzo przystosowana do tych przyrodniczo-społecznych okresowości, związanych z regularnością wydarzeń na świecie. Mądra sprawa, to wiek uczestników kultu. W dawnych społeczeństwach dzieci i młodzieńcy nie byli dopuszczani do tajemnic religijnych i nie brali udziału w praktykach dorosłych, a dopiero po tzw. „inicjacji” stawali się pełnoprawnymi członkami grupy.

Kulty mogą się różnić ze względu na sposób przejawiania się. A więc istnieją kulty indywidualne, czyli te, w których przeważają akty osobiste, jak własne, prywatne modlitwy oraz kulty grupowe, społeczne. Kulty można dzielić ze względu na ich zasięg i obszar. Odróżniamy tu kilka zasadniczych typów kultów.

Po pierwsze — będą to kulty rodzinne, najmniejsze zasięgiem, kulty jakiegos szczepu, drobniejszej grupy ludzkiej czy kulty plemienne, a więc kulty większej grupy ludzkiej, kulty lokalne, ograniczone do pewnego obszaru i kulty uniwersalne, które przekraczają granice danego narodu. Istnieją kilka takich kultów religijnych „światowych”. Największe z nich — to buddyzm, chrześcijaństwo i islam.

Człowiek pierwotny nie umiał wyjaśnić sobie co powoduje, że np. ziarno kiełkuje, wyrasta nowa roślina, dlaczego tak się dzieje, że plony raz są dobre a raz złe, dlaczego połowy czy polowania udają się lub nie i wielu innych tajemnic przyrody, jak najszybciej związanych z jego życiem. W działalności praktycznej pierwotnych ludzi można wyróżnić dwa rodzaje działań: uprawa roli, a z drugiej strony praktyki magiczne zapewniające rzekomo urodzajność, co praktycznie nie ma nic wspólnego np. z polepszeniem plonów, ale w umyśle człowieka pierwotnego (na skutek jego niewiedzy) są tak samo ważne, jak realne zabiegi. Podobne zjawiska widzimy w chrześcijaństwie (modlitwa o pogodę lub deszcz, tak jakby spowodować deszcz, wpływając na warunki klimatyczne).

Innymi słowy, u człowieka pierwotnego działanie rzeczywiste, praktyczne, dające określone wyniki jest związane ściśle z działaniem religijnym, iluzorycznym. Działania rzeczywiste potrzebne są tu splecione z zupełnie zbędnymi czynnościami o charakterze magicznym. Gdy np. w średniowieczu wybuchały epidemie, bito w dzwony, żeby odstraszyć „demonia zaraźliwych”, urządzano procesje itp. Medycyna mniej tu miała do powiedzenia. A więc wykonywano czynności z punktu widzenia naukowego zupełnie niepotrzebne. Człowiek współczesny coraz bardziej umie odróżnić czynności skuteczne od czynności niepotrzebnych.

Kult jest pochodzenia czysto ludzkiego, a najrozmaitsze obrzędy nie są „wyznaczone” przez bogów. Częstość i siła są, że zamilowanie do ceremonializmu jest czymś wyłącznie religijnym, jest specyfiką religii. Zapominamy o tym, że w umyśle człowieka w ogóle tkwi tendencja do rytualizacji wszelkich czynności, że istnieje nie tylko ceremonializm religijny, ale i świecki, np. ceremonializm wojskowy. Każdy poszczególny człowiek posiada swoje „prywatne” ceremonie i rytuały, np. ceremonial snu, jedzenia. Ceremonial religijny nie jest czymś wyłącznie religijnym, ale jest zjawiskiem ogólnoludzkim, powszechnym, występującym w życiu indywidualnym, jak i zbiorowym.

Kult ma za zadanie wyrazić uczucia religijne wierzącego, a także scalać członków danej grupy religijnej w jedną całość. Owa funkcja syntetyzująca (scalająca) posiadała drugie zadanie: wyodrębnia także wierzących z reszty społeczeństwa. Skoro istnieje jakaś grupa wierzących w danym społeczeństwie, to jest ona wewnętrznie całością, ale zarazem wiara ich, a w szczególności kult stanowi barierę izolującą tę grupę od reszty społeczeństwa. Istnieje także bardzo interesująca funkcja kultu — „kontrola” — nie w sensie

„doraźno - biurokratycznym” jak dziś rozumiemy — lecz w takim, w jakim „kontrolę” pojmujemy się w socjologii, jako całokształt środków regulujących życie społeczeństwa, jak i jednostki w ramach społeczeństwa. Będą to normy, zwyczaje, sprawowanie stałego nacisku na osobnika. W tym sensie np. mowa jest również środkiem kontroli. Strofowanie lub karcenie dziecka za niewłaściwe zachowanie się lub odezwanie, to wykonywanie nad nim funkcji kontroli. Podobnie religia sprawuje funkcję kontroli nad swoimi wyznawcami wywierając na nich nacisk w kierunku podobnych zachowań się, sposobu myślenia itp.

Wszystkie religie wykorzystują jak najbardziej możliwości oddziaływania na psychikę ludzi wierzących. Chrześcijaństwo czerpało ongiś szeroko z doświadczeń religijnych Wschodu, a obecnie posiada już własne wielowiekowe tradycje. Bogata szata obrzędowa szeregu kościelnych nabożeństw — to również środek oddziaływania na psychikę ludzi. Duże znaczenie ma również fakt, że religia opiera się w poważnym stopniu na tradycji i przyzwyczajeniach jej wyznawców. Fakt szerokiego rozpowszechnienia religii nie świadczy wcale o istnieniu sił nadprzyrodzonych. Istnienie kultu nie świadczy o istnieniu przedmiotu kultu. Nie tylko uczucia religijne są zwykłymi ludzkimi uczuciami, lecz i poglądy religijne są poglądami ludzkimi, z tym że powstają w przeważającej większości nie w oparciu o rozumowanie, lecz są przyjmowane emocjonalnie, bezkrytycznie.

Ukształtowane w oparciu o czynniki emocjonalne poglądy (i to nie tylko poszczególnych osób, ale często licznych grup społecznych) tkwią silnie i wielu ludziom bardziej trafiają do „przekonań” niż realna prawda.

Wielu jeszcze mamy takich ludzi, którym nie bardzo trafia do przekonania prawda o ruchu Ziemi wokół Słońca, o kulistości Ziemi, o wielkości i układzie wszechświata, ale którym mocno trafia do przekonania wieść o „cudzie” czy „cudownym uzdrowieniu” itd.

Jest to, niestety, nie tylko smutne dziedzictwo ciemnoty i zacofania, lecz także smutne dziedzictwo od pokoleń wpajanej przez Kościół formy myślenia, a właściwie sposobu emocjonalnego podchodzenia do spraw religijnych.

Opracował:

ST. RYBARSKI

rozwiązywaniu konkretnych działań poszczególnych kontrahentów. Zespół taki powstanie przy Zarządzie Wojewódzkim ZMW. Wejść do niego ludzie, którzy w sprawach tych będą mogli udzielić fachowej porady i pomocy. Narada wykazała, że w pracy tej potrzebne jest także właśnie współdziałanie partnerów dysponujących środkami finansowymi i możliwościami merytorycznej dorady.

Na naradzie przytoczono przykład, który wskazuje na dobre rezultaty takiej właśnie współpracy. Jest to współdziałanie Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych, Związku Polskich Artystów Plastyków i Biura Wystaw Artystycznych.

Jak wykazała kilkumiesięczna praktyka organizowania wystaw w środowiskach robotniczych, mariaż ten wyszedł na dobre wszystkim zainteresowanym stronom i w roku bieżącym planowane są nowe inicjatywy w tym zakresie obejmujące zasięgiem poważną grupę chłoporobników zatrudnionych w mieście i mieszkających na wsi.

Udaną formą popularyzacji dobrego malarstwa jest sprzedaż reprodukcji malarstwa „światowego” poprzez „Ruch” i „Dom Książki”.

Mówił o tym obszernie dyrektor rzeszowskiego „Domu Książki” A. Bizanz. W roku ubiegłym na przykład przedsiębiorstwo to sprzedało reprodukcji za kwotę ponad pół miliona złotych, a 80 placówek „Domu Książki” prowadzących tę sprzedaż wykazuje zwiększający się na nie popyt.

W tym roku, podobnie jak i w poprzednim, reprodukcje te sprzedawane będą na kiermaszach z okazji Dni Oświaty Książki i Prasy organizowanych również w małych miasteczkach i wsiach. Do akcji tej włączeni zostaną kolporterzy wiejscy, którzy obok tradycyjnej już sprzedaży książek oferować będą cieszące się ogromnym powodzeniem „Światowe” Van Gogha, lub portrety dziecięce Wyspiańskiego.

Sądzą, że „WidokRąg”, który dla tej inicjatywy udostępnił swe szpa-

ty omawiał będzie jeszcze nieraz poruszone dziś, w wielkim skrócie, problemy. Jesteśmy w czasie, w którym potrzeba będzie wiele organizacyjnego wysiłku, by zapoczątkować pewne procesy, które przez kilkanaście lat przebiegały swoimi drogami.

Ale wydaje mi się, że warto na zakończenie niniejszego artykułu położyć jedną zasadniczą uwagę.

Upowszechnianie plastyki na wsi to również upowszechnianie elementów zasad estetyki w miasteczku, mieście powiatowym, wojewódzkim.

Pod adresem tego ostatniego dałoby się wytoczyć całą serię dowodów, które mówią, że w zakresie troski o nowoczesny, estetyczny wygląd miasta pozostaje ono na jednym z gorszych miejsc w województwie, że w okresie ostatnich lat powstał w nim dzięki całkowitej bezkarności szereg wątpliwej wartości „ozdobek” nadających Rzeszowskiemu piętno prowincjonalnego grajdolka.

Bo jakim prawem, chciałbym zapytać, nasi specje handlowi prowadzą od kilku lat intensywną akcję zasmarowywania szub sklepów olejnymi malunkami?.. Dodajmy kicowymi, amatorskimi obrazkami pozbawionymi jakiegokolwiek sensu plastycznego.

Proszę popatrzeć jak wygląda dziełki tej „twórczości” ulica Obrońców Stalingradu, Grunwaldzka, czy kilka ważniejszych ulic w mieście?

Rezultaty tej akcji? Oglądać je możecie jeszcze w gorszych wydaniach w licznych powiatowych miastach. Tam gdzie jeszcze kilka lat temu nikomu do głowy by nie przyszło, że można w taki sposób zanieczyścić szyb, robi się to dziś w sposób masowy.

Skoro można w Rzeszowie... Inny przykład. Naprzeciw rzeszowskich Delikatesów na rogu ulic Jagiellońskiej i Trzeciego Maja mieści się księgarnia. Zajmuje ona pomieszczenie po zlikwidowanym klubie — „Książki i Wiedzy”. Proszę mi po-

wiedzieć, w imię jakich wyższych celów może dojść do tak absurdałnej sytuacji, jaką jest eksmitowanie z tego lokalu księgarni „Domu Książki”, idę o zakład: najestetyczniej, najnowocześniej urządzonej księgarni w Rzeszowie i chyba w województwie rzeszowskim, urządzonej kosztem wieluset tysięcy złotych?!

Warto zaznaczyć, że ta właśnie księgarnia specjalizuje się w sprzedaży pięknych znakomitych reprodukcji dzieł sztuki, poszerzając z miesiąca na miesiąc krąg odbiorców, w tym również (tak!) odbiorców ze wsi.

Mieli rację dyskutanci narady wskazując na ścisły związek, jaki istnieje między problemami upowszechniania sztuki w mieście i na wsi. Byłoby dobrze, aby pamiętali również o tym ludzie odpowiedzialni za wygląd naszych ulic, sklepów, urzędów, poczekalni...

Ich służbowym obowiązkiem jest nie dopuszczać do rozprzestrzeniania się plastycznej tandety, a nie zajmować się jej lansowaniem, jak mamy tego dowody.

I uwaga tym razem ostatnia: w upowszechnianiu plastyki dużą rolę mogą odegrać nie tylko organizacje zajmujące się zawodowo problemami upowszechniania, ale placówki kulturalne, działające na wsi, organizacje młodzieżowe i społeczne.

Pierwszy etap tej pracy cechuje się bowiem w kraju intensywną działalnością organizatorską, w której niezbędna jest społeczna inicjatywa i działanie. Przykład inicjatywy harcerzy i ich tygodnika „Na przelaj” o fundowanie dla Szkół Tysiąclecia malarstwa i rozmiary, jakie przybrała ta inicjatywa w kraju każe wierzyć, że w tym zakresie możemy zrobić dużo.

Czy tak będzie?

ADOLF JAKUBOWICZ

JAN GRYGIEL

## Rzeszowskie szlaki turystyczne w nowościach wydawniczych

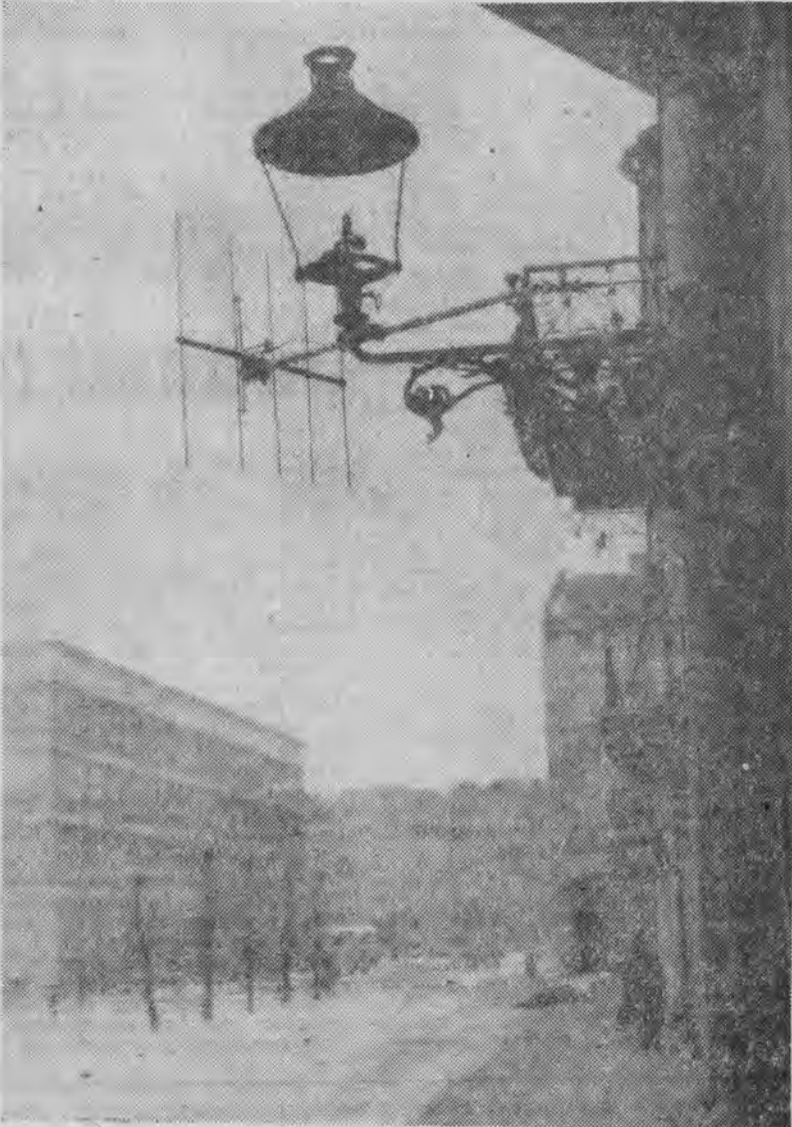
Jeśli się ma trochę wyobraźni i cierpliwości, można odbywać wędrowki turystyczne nawet w najbardziej niesprzyjającej porze roku, jaką jest przedwiośnie. Układamy się wygodnie na tapczanie z albumem krajoznawczym i mapą regionu, który nas interesuje i zaczynamy podróż po słońce, powietrze i szeroki oddech pól i lasów. Do takiej turystyki szczególnie nadawały się minione święta, chmurne i deszczowe, toteż urządziłem sobie taką wyprawę korzystając z nowych wydawnictw krajoznawczo-turystycznych. Rozłożyłem po kolei przed sobą album „Ziemia Przemyska” wydany przez krakowskie Wydawn. Artyst. Graficzne na zlecenie Prez. WRN i WKkFiT w Rzeszowie, album „Bieszczady wczoraj — dziś — jutro” i dość obszerny folder „Szlakami Rzeszowszczyzny” również edycji w WAG-u.

Album „Ziemia Przemyska”, o którym informowaliśmy już naszych czytelników, jest czymś więcej niż wydawnictwem krajoznawczym. To prawie monografia historyczna miasta i regionu. W obszernej opisowej części obok szkicu o perspektywach rozwojowych miasta i wsi przemyskiej Wojciecha Bani znajdujemy pracę Aleksandra Gilewicz i Jana Różańskiego stanowiącą zarys historii gospodarczej, społecznej i kulturalnej ziemi przemyskiej. Autorzy z erudycją kreślą nieco chaotyczny, gdyż zbyt „wszystkoistyczny” obraz dziejów miasta. Nadmiar szczegółów, szlachetna pasja powiedzenia wszystkiego zaszkodziły nieco czytelności, przejrzystości i kompozycji pracy. Mimo szerokiej wiedzy autorów pojawiają się w szkicu nieścisłości, a nawet mylne informacje w zakresie zjawisk historyczno-literackich. M. in. mówi się w pracy o Mikołaju Hussowszczyku i jego związkach z ziemią przemyską, gdyż jakoby miał on opisywać polowanie na żubry w lasach Łańcuta, Przeworska, Dubiecka... Otóż takich związków nie było, a akcja poematu „Pieśń o żubrze” toczy się w puszczech litewskich. To „Dziś Zamechka” Jana Kochanowskiego mówi o łowach w lasach u zbiegu Tanwi i Sanu. Nie można również twierdzić z całą pewnością, iż Krasiński akcją „Monachomachii” zlokalizował w Przemysku, gdyż poeta celowo nie umiejscawiał konkretnie sporu mnichów w żadnym mieście. Przesłanki zawarte w tekście poematu są tak ogólnikowe, że mogą dotyczyć połowy miast polskich w XVIII wieku. Na poparcie swej tezy autorzy przytaczają nr str. 31 niedopuszczalnie zniekształcony cytat z „Monachomachii” złączony w jedną całość z wierszem wyjętym z „Podróży z Warszawy do księcia Stanisława Poniatowskiego”. Wiersz ów, zaczynający się od słów: „Domki szczupłe, tych niewiele, a zaś kościół przy kościele...” odnosi się do miasteczka Góra Kalwaria koło Warszawy a nie do Przemysła.

W innym miejscu autorzy piszą — „Lata 1772—1867 zaznaczyły się bujnym życiem literackim na tej ziemi. Tradycja i atmosfera twórcza Dubiecczyny ścigała w te strony poetów i pisarzy w XIX wieku. Czestymi gośćmi byli tu w pałacach Krasińskich E. Kuropatnicki, Elżbieta Drużbacka i inni”. Otóż Elżbieta Drużbacka zmarła w 1765 roku, nie mogła więc w tym okresie bывать w Dubiecku. Tego samego typu błąd powtarza się na str. 72. „Przy końcu XVIII i z początkiem XIX w. Dubiecko było ważnym przybytkiem poetów, zjeżdżali się do niego: Karpiński, Komarski, Drużbacka, Wincenty Pol i inni”. Nie tylko Drużbacka wtedy już nie żyła, jak się rzekło wyżej, ale i Komarski (zmarł w 1773 roku). Inne nieścisłości — nie było pamiętnikarza Aleksandra Łusakovskiego, był Seweryn Łusakowski; Kornel Makuszyński nie uczęszczał do gimnazjum w Przemysku, lecz w Strzynie. Tyle wyłożyłem w pobieżnej lekturze, nie twierdząc, że to już wszystkie usterki.

Mimo wszystko praca spełnia pozytywną rolę, wzbudza zainteresowanie historyczno-krajoznawcze dla regionu i buduje uczucia patriotyzmu lokalnego. Część ilustracji albumu na dobrym poziomie. Dużo dobrych zdjęć w starannym układzie graficznym tworzy interesujący i logiczny w kompozycji obraz ziemi prze-

(Ciąg dalszy na str. 4)



Dwie epoki

Fot. M. Kopec



## Rzeszowskie szlaki turystyczne w nowościach wydawniczych

(Ciąg dalszy ze str. 3)

myskiej. Wartość edycji podnosi piękna oprawa i atrakcyjny, a równocześnie praktyczny format.

Album „Bieszczady” ma inny charakter. Pozbawiony ambicji monograficznych, przeznaczony przede wszystkim dla miłośników górskiej turystyki i piękna krajobrazu znakomicie pełni swoją rolę. Część informacyjna składa się z refleksyjnego reportażu Jerzego Lovella, z impresyjnego i sugestywnego szkicu Władysława Krygowskiego i z obszernej informacji o problemach gospodarczych Bieszczadów — Tadeusza Dudzińskiego. Głównym przedmiotem zainteresowań Lovella jest kształt nowej społeczności, nowego życia, początek nowego świata tworzącego się od podstaw na tych ziemiach. Reminiscencje z tragicznej przeszłości wiążą się w reportażu z obrazami nowych konfliktów, dygresje etnograficzne z problemami nowego osadnictwa. Dzięki dociekliwej pasji reporterskiej i gruntownej znajomości rzeczy udało się pisarzowi ukazać wymiary wielkiego problemu, jaki stanowią Bieszczady.

Władysław Krygowski, znakomity znawca regionu i jeden z głównych pionierów ruchu turystycznego w Polsce, naczelny redaktor „Wierchów”, kreśli czytelnikowi obrazy fauny i flory bieszczadzkiej, wprowadza w sprawy geograficzne, przypomina przeszłość gospodarczą i kulturalną tych ziem, ukazuje bardzo przekonywająco niepowtarzalny urok Bieszczadów. To idealny wzorzec na znajomość kraju, którą daje rozumna turystyka.

I wreszcie ekonomista Tadeusz Dudziński pokazuje, czym Bieszczady zaczynają być pod względem rozwoju gospodarczego, w wyniku uchwytu KERM, w sprawie zagospodarowania rejonu Bieszczadów.

W części ilustracyjnej prawdziwa radość dla oczu. Piękne fotografie roślinności, krajobrazu przeszyconego słońcem, zwierząt, zabytków architektury. Jestem głęboko przekonany, że ten album znacznie zwiększy już w najbliższym sezonie ilość turystów w Bieszczadach. Trzeba dodać, że sporo zdjęć publikował już przedtem „Widnokrąg”, gdyż autorem największej ilości fotografii w albumie jest Zdzisław Postępski, stały współpracownik „Widnokregu”. Część opisową ilustrują subtelne i nastrojowe rysunki Adolfa Jakubowicza, Heleny i Jerzego Majewskich. Za opracowanie graficzne całości wydawnictwa należy się duże uznanie Jerzemu Majewskiemu.

Najmniej entuzjazmu budzi trzecia z kolei książeczka „Szlakami Rzeszowszczyzny”. Trochę za obszerna jak na folder, za szczyplą i ogólnikową jak na przewodnik turystyczny, za mało efektowną jak na ozdobny album. Atrakcyjność broszury podnoszą kolorowe zdjęcia, których jest sporo. Niestety, ich poziom techniczny nie jest najlepszy. Dominuje w nich ton buraczkowy, brak im wyrazistego konturu i ostrości. Część informacyjna, utrzymująca w tonie suchej, sprawozdawczej relacji nie odznacza się zbyt wielkim bogactwem szczegółów. Przypomina trochę komentarz przewodnika prowadzącego wycieczkę w autokarze. Tu jest to, tam jest tamto, jedziemy dalej. Szkoda np., że z wyjątkiem Rzeszowa autor nie podaje ilości mieszkańców omawianych miast. Szkoda, że prawie w ogóle nie zwraca uwagi na krajobraz czy ukształtowanie terenu. Nie brak i tu nieścisłości. Stanisław Konarski nie uczył się w Rzeszowie w szkole pijarów, lecz uczył, był nauczycielem. Uczył się w kolegium pijarskim w Piotrkowie Trybunalskim. Tematem „Zemsty” Fredry nie są dzieje odrzykońskiego zamku. Można jedynie przypuszczać, że spór Skotnickiego z Firlejem w Odrzykoniu nasunął Fredrze pomysł napisania komedii o podobnym wątku.

Ale mimo tych zastrzeżeń broszura jest pożyteczna i potrzebna, może właśnie dla turystów zmotoryzowanych. Dobrze się stało, że te publikacje ukazały się w roku jubileuszowym Polski Ludowej. Chociaż bowiem nie mają jubileuszowego charakteru, podsumowują jednak w pewien sposób osiągnięcia gospodarcze i kulturalne tych ziem, którym są poświęcone, w okresie 20-lecia i ukazują perspektywy rozwojowe na przyszłość. Dotyczy to zwłaszcza „Ziem Przemyskiej” i „Bieszczadów”. Miłośnikom przyrody, krajobrazu ojczystego, wódcęgo po górskich bezdrożach umożliwiają wspomnienia najlepszych wakacyjnych przeżyć i wędrowki, tak jak się rzekło na wstępie, w czas i przestrzeń w zaciszu mieszkania, w najmniej sprzyjających warunkach atmosferycznych.



FRANCISZEK PRZEPÍÓRA — kierownik orkiestry dętej przy ZDK w Glinku Mrpl.

## Dymitr Szostakowicz o współczesnej operze

W wywiadzie udzielonym przedstawicielowi TASS znakomity kompozytor radziecki Dymitr Szostakowicz przedstawił swój pogląd na zagadnienie współczesnej opery, a także odpowiedział na pytania dotyczące jego twórczych zamierzeń.

Zdaniem Szostakowicza, najwybitniejszym kompozytorem operowym naszych czasów jest Benjamin Britten, twórca znakomitych dzieł „Peter Grimes” i „Sen nocy letniej”. Te właśnie opery spełniają postulat współczesności — odznaczają się muzyką i sceniczną dramatycznością, plastycznością charakterystyki bohaterów, dynamizmem konfliktów.

Szostakowicz nie zgadza się z tymi muzykologami, którzy uważają, że opera jako gatunek muzyczny już się przeżyła. Uważa natomiast, że opera jest dziś równie żywotna co i dramat. Do najbardziej interesujących przedstawień operowych wystawianych obecnie w Związku Radzieckim Szostakowicz zalicza „Króla Edyppa” Strawińskiego i „West Side Story” Bernsteina.

Odpowiadając na dalsze pytania

dziennikarzy, Dymitr Szostakowicz oświadczył, że jest bardzo zadowolony z kształtu scenicznego, jaki otrzymała jego opera „Katarzyna Ismajłowa” zarówno w Moskwie, jak w Londynie i Belgradzie. Nie oglądał natomiast jeszcze wystawionej w Niemczech zachodniej swej pierwszej opery „Nos” według Gogola. Inscenizacja ta bardzo go, oczywiście, interesuje.

Mówiąc o swych planach twórczych, Szostakowicz powiedział, że w 1966 r. chciałby ukończyć pracę nad swą nową operą — „Cichym Dnem”. Będzie to jednak utwór o charakterze kameralnym, nie zaś epickim, jak „Wojna i pokój” Prokofiewa. Zapytany o technikę pracy, kompozytor oświadczył, że pracuje mu się jednakowo dobrze o każdej porze dnia. Komponuje szybko, co uważa za pewien mankament swego warsztatu. Kiedyś potrafił pracować jednocześnie nad kilkoma utworami, jednak zaniechał tego. Ulubioną rozrywką Szostakowicza jest oglądanie zawodów sportowych. Dużo czyta, ale nie uważa tego za rozrywkę.

## Zdarzenia IYCODNIA

Ostatnio powrócił z NRD dyrygent Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Rzeszowie JANUSZ AMBROS, który prowadził koncerty w Neubrandenburg. Nasz muzyk został przyjęty bardzo życzliwie. Od soboty gościmy dyrygenta z Neubrandenburg HANSA GEORGA REICHERTA. Pan Reichert dyrygując będzie najbliższym koncertem rzeszowskiej POS.

\* \* \*  
W hallu wystawowym WRN w Rzeszowie otwarto wystawę fotografii JACKA FISCHERA. Organizatorem wystawy jest Wydział Kultury Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Rzeszowie.

\* \* \*  
„BIESZCZADY NA CO DZIEN” — to tytuł wystawy — fotoreportażu JANA MICHELEWSKIEGO, której ekspozycja przygotowana jest obecnie w warszawskim Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki. Czynną będzie od poniedziałku 6 kwietnia.

\* \* \*  
SEJMIK KULTURALNY działaczy i pracowników placówek kulturalno-oświatowych wojewódzkich i cywilnych obradował w Rzeszowie. Dyskutowano nie tylko nad możliwościami dalszego zacieśnienia współpracy i jej nowymi formami, lecz także podejmowaniem wspólnych inicjatyw (przez cywilne i wojskowe placówki k. o.) i ich realizację.

\* \* \*  
W sali wystawowej Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie eksponowane są PRACE PLASTYKÓW AMATORÓW województwa rzeszowskiego. Wystawa, na którą składają się obrazy olejne, akwarelowe, rzeźby z rogu i drzewa oraz masy gipsowej (ogółem 103 prace) czynna będzie do 15 bm.

\* \* \*  
Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych w Rzeszowie podsumowała wyniki kontroli przeprowadzonych w 209 większych i średnich zakładach pracy w naszym województwie. Dotyczyły one uzupełnienia podstawowego wykształcenia przez robotników. Stwierdzono, że w zakładach tych pracuje 9.028 osób bez podstawowego wykształcenia (do lat 35 — 4.477, do lat 18 tylko — 11). Uczy się zaś na kursach i w szkołach wieczorowych 1.221 osoba.

## WIDNOKRĄG odpowiada

„ARTEMIDA”. Wiersze zachowaliśmy w tece, ale jeszcze nie będziemy na razie publikować. Są jeszcze mało dojrzałe mimo szczerości i bezpośredniości. Widać jednak wyraźny postęp. Warto czytać dużo współczesnych wierszy i kontynuować próby. Prosimy utrzymywać z nami kontakt. Przy okazji dziękujemy za życzenia i pamięć.

OB. A. M. GORNO: Opowiadania nie mają wartości artystycznej. Sytuacje w nich nieprawdopodobne, wydumane, postacie marionetkowe, język prymitywny i ubogi. Nie widzimy, niestety, szans dla Pana w prozie.

OB. M. P. JAROSŁAW: Podzielamy całkowicie pańskie ubolewania i opinie ale, niestety, nie możemy sobie pozwolić na stały fetylet językowy na łamach „Widnokregu” z powodu braku miejsca.

OB. K. S. RZESZÓW: Z wiersza „Mój Apeł” nie skorzystamy. To rymowanka, dość zresztą kulturalna, a nie utwór poetycki. Prawdy w niej zawarte są oczywiste, a środki wyrazu banalne. Ob. „Konar” Tarnobrzeg, ZB. — Zalesie, M. B. — Wybrzeże, E. U. — Iwonicz, L. K. Rzeszów: — Nie skorzystamy.

— No cóż, u mnie od tego czasu trochę się zmieniło... — zaczął.

Początek ten nie był zbyt obiecujący. Ostatecznie nie było się czemu dziwić. — Ot — zwyczajne spotkanie dobrych przyjaciół, którzy na kilkanaście lat stracili się z oczu. Doszło do niego banalne. Jakaś kawiarnia, dobrze znana twarz, wzajemne poklepywanie się i „jak się masz, stary!” i „wcale się nie zestarzałeś”. I wreszcie jakieś próby streszczenia tego ogromnego szmatu życia, sprowadzające się, jak to zwykle się zdarza, do informacji, że ten awansował, ów zaś się ożenił.

— Wiesz, ożeniłem się — powiedział.

Teraz mi powie, że ma dwoje dzieci i że szef go szanuje!

— Przypominasz sobie może, iż byłem w miarę przystojny, bezczelny i rozbałamucony powodzeniem u dziewcząt. Może to właśnie sprawiło, że daleki byłem od myśli o założeniu rodziny i że po zakończeniu studiów postanowiłem pogrzebać się trochę w pracach naukowych. Były to właśnie czasy, kiedy biologa molekularna stawiała pierwsze kroki; dziedziną ta zainteresowała mnie, a że odziedziczyłem wtedy jakiś spadek po wujku z Ameryki, kupiłem dość skromne zresztą wyposażenie laboratorium i podjąłem badania na własną rękę. Kelner! Bąbkę piaskową poproszę. Nie pozwala mi jeść ciasta w obawie, abym zbyt szybko nie przytył.

Interesowało go dość nieoczekiwane, ale słuchałem dalej.

— Masz inny zawód i inne zainteresowania, więc nie będę ci nudził szczegółami moich prac; dość że obrałem zupełnie inny kierunek badań aniżeli moi koledzy po fachu. Oni zajęli się sprawami genetyki, ja — możliwością oddziaływania na już żyjące i znajdujące się w pełni rozwoju organizmy.

I udało mi się — udało mi się nadspodziewanie!

Odkryłem mianowicie, jak można w nieprawdopodobnie krótkim czasie hamować lub stymulować rozwój tkanek żywego organizmu bez szkody dla zdrowia danego osobnika. Wiesz, co to znaczy? Jeśli człowiek otyły podda się kuracji odchudzającej i w ciągu kilku tygodni straci na wadze pięćdziesiąt kilogramów, ryzykuje życiem. A moja metoda umożliwiała dowolne

pracowania odpowiednich kryteriów, dalem jej reprodukcje rzeźb i obrazów kobiecych, stworzonych przez najwybitniejszych artystów różnych epok: była w tym zestawie i Wenus z Milo, i Madonna Botticello, i, oczywiście — Gioconda, dalej — Goyi Mają obnażoną i wiele innych, wcześniejszych i późniejszych sławnych z dzieł plastycznych kobiecych postaci; przy doborze dzieł twórców nowożytnych unikałem jednak Picassa i jego

faję się w czasie. Trzeba było przekształcić pierwszą pacjentkę i poddać ją trzymiesięcznej obserwacji. Tylko — skąd uzyskać pacjentkę, która by się na to zgodziła?

Dopomógł mi przypadek. Któregoś wieczora, wracając piechotą do domu, wyciągnąłem prawie spod kół samochodu młodą dziewczynę. Było to stworzenie godne litości, garbata i otyła, o perkatym nosie i krzywych nogach. Plakała i wyrywała mi się, zamierzając w ten

uczniów w obawie, aby nie obdarzyć którejś z pacjentek nosem na policzku.

Krótko mówiąc — wszystko przygotowałem tak, aby przystąpić do dzieła. A dziełem tym miały być kobiety — kobiety, które pragnęłyby stać się piękne.

Moje urządzenia zapewniały osiągnięcie piękności doskonałej i nieskazitelnej, piękności kształtów i rysów, piękności głosu i spojrzenia, piękności za każdym razem niepowtarzalnej. Właśnie dlatego mogłem liczyć na powodzenie mojej metody, na sławę, rozgłos — i pieniądze. Ale wierz mi, że nie tylko o to mi chodziło: pragnąłem uczynić rodzaj ludzki piękniejszy, a przez to dopomóc dziesiątkom milionów ludzi w wybuchu ich kompleksów, które w tej czy innej formie ciąży nad całym życiem społeczeństwa. Ludzie jak bogowie — oto byłby żywy pomnik mojego dzieła. Jedno tylko jeszcze wymagało doświadczenia potwierdzenia: uzyskanie pewności, że wywoływane przeze mnie zmiany nie co-

czy inny sposób popełnić zamierzone samobójstwo.

Gdy wreszcie udało mi się ją trochę uspokoić, dowiedziałem się wszystkiego: rzucił ją chłopak — dla innej. Nie pomógł jej to, że była magistrem filozofii i że znała na pamięć kilka setek liryków miłosnych. Nie umiała pogodzić się z myślą, że życie uczuciowe jest przed nią zamknięte. Postanowiła więc rzucić się pod samochód.

Nie będę ci opowiadał, jak udało mi się ją namówić, aby wzięła udział w moim wielkim doświadczeniu; dość, że się zgodziła. Podjąłem je z drżeniem serca... To trwało kilkanaście dni... Ciągnęły się one jak całe lata... Ale wynik mnie samego wprawił w osłupienie.

Moja mała szkarada stała się skończeniem piękna. Nie zdarzyło mi się widzieć bardziej harmonijnej urody. Ja, jej twórca, byłem onieśmieszony. Dziewczyna była wstrząśnięta, szczęśliwa i nie dowierzała sobie samej — nie odstępowała nawet na krok, jak gdyby obawiając się, że czar przyniesie.

## Gabinet nieskazitelnej piękności

odtłuszczenie lub przeciwnie — tuczenie, absolutnie bez szkody dla zdrowia pacjenta. Ale to jeszcze nic: potrafiłem spowodować ściągnięcie się i uelastycznienie wiotkiej skóry, hamować lub pobudzać rozwój poszczególnych kości — i tak dalej, i tak dalej, bez zabiegów operacyjnych, w sposób szybki, bezbolesny, nieszkodliwy dla zdrowia. Zapewniam cię, że gdybym przestał na tym i opublikował wyniki moich doświadczeń, byłbym poważnym kandydatem do Nagrody Nobla. Ale ja — westchnął — poszedłem dalej...

Zajął się przyniesioną tymczasem bąbką piaskową, a ja rozpamiętywałem usilnie wszelkie kiedykolwiek przeczytane notatki o rewalacyjnych odkryciach naukowych. Żadne jednak, na ile mogłem sobie przypomnieć, nie wiązało się z jego nazwiskiem.

Posługując się fabrycznymi podzespołami — opowiadał — skonstruowałem specjalną elektryczną maszynę cyfrową, przeznaczoną do programowania piękności. Dla wy-

Było mi to na rękę, albowiem mogłem dokładnie obserwować mój pierwszy przypadek. Codziennie systematycznie notowałem wyniki sprostowań, dokonanych według specjalnie obmyślonego sposobu rejestracji — i codziennie porównywałem wyniki. Im dalej plynął czas, tym bardziej przekonywałem się o trwałości zabiegu. Jako naukowiec, jako specjalista, miałem pełne prawo do całkowitego zadowolenia. Ale jako człowiek...

Jej pierwsze kroki w nowym wcieleniu były nieśmiałe, ale coraz bardziej nabierała pewności siebie. Przestała unikać ludzi... a ja, chwytając wzrok wpatrzonych w nią zachwyconych mężczyzn, oblewałem się potem — jak to się mówi — od stóp po czubki włosów. Poznałem, co to jest uczucie niepełności, zwątpienia, zazdrości. Po prostu zakochałem się w niej — i bałem się, że ją stracę. Trzymiesięczny okres — sprawdziłem eksperymenty — miał się ku końcowi i zrozumiałem, że jedynym sposobem utrzymania dziewczyny przy sobie jest — oświadczyć się jej...

— Co zrobisz? — wrąciłem.

— Co zrobiliśmy? Zostałem przyjęty. Mamy dwoje ślicznych dzieci. Dba o mnie — pilnuje, abym przypadkiem nie przytył...

Spojrzał z ukosa na talerzyk z okruszynami babki piaskowej i powiedział jeszcze:

— Byłbym zupełnie szczęśliwy, gdyby nie przykre stosunki w pracy. Szef mnie szanuje.

— Nie rozumiem... Masz jakiegoś szefa? A twój gabinet nieskazitelnej piękności?

— Wszystko zniszczyłem. Pod takim warunkiem wyszła za mnie. Czy przypuszczałeś choćby przez chwilę, że najpiękniejsza nawet kobieta pogodzi się z myślą o rywalach?

STEFAN WEINFELD